

Zdzisław Skwarczyński

"Pożegnania" Dygata

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 30, 17-30

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI

POŻEGNANIA DYGATA

Kiedy w 1948 r. ukazały się *Pożegnania* — druga powieść Dygata — wywołało to już coś w rodzaju otwartego skandalu. Nie wzbudziły takiej reakcji fragmenty czytane (1 X 1947 r.) w „Pickwicku”, łódzkim klubie literackim, bo też zaznajomiło się wtedy z utworem stosunkowo niewielkie grono pisarzy i miłośników literatury. Bomba pękła, gdy udostępniła książkę Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, inicjując ekskluzywną serię pn. Klub Literacki „Odrodzenia”, przeznaczoną dla wytrawnych czytelników w subskrypcji, by nie gorszyć innych. W tejże serii nieco później zaprezentowano *Węzły życia* Z. Nałkowskiej, immanentne przedstawienie sanacyjnej elity władzy, i podobne T. Brezy *Mury Jerycha*. Tymczasem owi wytrawniejsi czytelnicy nie strzymali, dając temu wyraz w listach do redakcji „Odrodzenia”, część zaś zgoła zwróciła subskrybenckie legitymacje klubowe. Chyba nie ze względów komercyjno-reklamowych — bo zapotrzebowanie na książkę po wojnie było ogromne a Klub zakładał ograniczoną liczbę odbiorców — redakcja „Odrodzenia” nie zataiła rezonansu, nawet nadała sprawie rozgłos poświęcając jej całą kolumnę i cytując listowne wypowiedzi poruszonych czytelników. Nie jest pewne, czy redakcja wszystkich dopuściła do głosu. Nie jest również pewne, czy autorzy protestacyjnych epistoł wypowiedzieli się szczerze i czy nie stosowali substytucji swego oburzenia. Z tego, co opublikowało „Odrodzenie”, wydawać by się mogło, że dominował ton obyczajowego zgorznienia, do czego znów powieść nie dawała tak wiele podstaw. Współczesny jej czytelnik, gdyby szukał w niej drastycznych sytuacji lub zwrotów, zawiodłby się srodze. W wielu jednak istotnych sprawach obowiązywało wtedy obustronne — publikujących i czytelników — tabu. Transmisja tedy na inną sferę życia społecznego była możliwa.

Wrzawa niektórych czytelników wokół powieści, odsłonięta przez „Odrodzenie”, na tej samej kolumnie pozwalała redakcji stwierdzić, że mimo zwrotów subskrybenckich legitymacji Klub Literacki „Odrodzenia” per saldo znacznie się powiększył, że

więc byli i tacy, których książka pobudziła do solidarności z autorem, co mogło mieć nieobyczajową wymowę.

Sam Dygat — już później — wyznał, że nieomal nie popełnił powieści politycznej. Mimo znamiennej, nie tylko z powodu dystansu czasowego dzielącego wypowiedź od ukazania się utworu, niepewności autora, coś w tym być musiało w ówczesnych okolicznościach. Dziś trudno nam to wyczytać z tekstu. Wiele ze spraw rozpalających wtedy namiętności do białego upadło lub straciło na znaczeniu. Bez cienia emocji czytamy chyba wszyscy o najautentyczniejszych „mitrach pod kapeluszem” w popularnym tygodniku „Polityka”, cóż zaś dopiero o najnowszej arystokracji. Dziś sąd krytyczny o jakiejś grupie arystokratów — trudno nawet rzec, czy autentycznych — o zrosniętych z nimi zamożnych mieszczanach oraz ich satelitach i parazytach nikogo nie zbulwersuje. Wtedy jednocześnie kpiono sobie z Bęc-Walskiego i z Radziwiłła, który dla wygody życia zmienił nazwisko na Rapaport, ale mechanizm reakcji na takie drobiazgi był znacznie bardziej niż dziś skomplikowany. Często pisanie o rzeczach, o których nie wszyscy mogli się wypowiedzieć, uważano za coś w rodzaju bezwstydu. Istniała skryta płaszczyzna solidarności i niezgody przeciw — jak sądzono — nieodpowiedzialnym gestom. Wówczas wzmianka o nabolącej sprawie lub pominięciu jej nabierały posmaku politycznego — i chyba w tych kategoriach należy rozpatrywać powieść Dygata.

Z oświadczeń Dygata wynika, że napisał najpierw drugą część powieści (zaraz po powstaniu w Komorowie pod Warszawą), pierwsza powstała później (latem 1947 r. w Kudowie). Trudno dociekać, czy już po przedstawieniu poprzedniej części wydawnictwu i recenzentom lub tylko najbliższemu kolegom po piórze. Nie jest to wykluczone w ówczesnym trybie pracy literackiej, w ówczesnych związkach autora z „Kuźnicą”, wreszcie w sytuacji pisarza, który w swym dorobku miał wprawdzie świetną, ale tylko jedną powieść i był współautorem sztuki teatralnej (*Zamach*, wespół z Brezą). Zresztą samej atmosfery „Kuźnicy” starczyło. Na jej łamach toczyły się główne literackie spory, krytyka miała wybitnie postulatyczny charakter, nie szczędzono też pisarzom jedynie słusznych rad i wskazówek. Część tych rad i wskazówek przechowała się zapewne w recenzji S. Żółkiewskiego (*Druga książka S. Dygata*, „Kuźnica” 1948, nr 12), acz można też przypuszczać, że twórca *Pożegnań* nie był wobec nich nazbyt powolny, skoro znalazły się i napomnienia, i pochwały dziś już bezkarnie, ale i bez autoryzujących je odsyłaczy, parodiowane przez felietonistów. Jakkolwiek ostatecznie było z owymi radami i wskazówkami, nawet i wzorcem powieści politycznej,

wyznanie pisarza co do kolejności powstawania poszczególnych części *Pożegnań* wyznacza nieco inny porządek rozumienia powieści niż ten, w jakim odbierał ją ostatecznie czytelnik — i skracca wyraźnie wydłużoną później w ostatecznym kształcie powieści perspektywę na sprawę w niej główną.

Spróbujmy tedy podjąć lekturę *Pożegnań* w tym właśnie punkcie, w którym faktycznie się one zaczęły.

Jeśli się zważy, że narracja prowadzona w pierwszej osobie traktuje w tej części powieści o dramatycznych i silnie nadal przeżywanych przez większość obywateli, szczególnie zaś mieszkańców Warszawy po powstaniu, dniach poprzedzających wyzwolenie z jakimś propektem na to także, co po nich nastąpiło — zrozumiałe wyda nam się towarzyszące tej lekturze zainteresowanie. Możliwa (dziś powiadają: wirtualna) solidarność z narratorem czy identyfikacja, kimkolwiek byłby czytelnik: uczestnikiem powstania czy tylko ofiarą katastrofy, tu właśnie najmocniej była wystawiona na próbę.

Tymczasem w owym kluczowym dla życiowych sytuacji łączących czytelników z narratorem-bohaterem momencie, on sam prezentuje się jako widz z dezynwolturą uzasadniający swą bierność w najrozleglejszym rozumieniu tego słowa. Ze wszystkich obowiązków, tych przyziemnych przede wszystkim, które człowieka osadzają wśród społeczności, został nam tylko jeden: troska o własną osobę. I te związki zostały, które sytuują go w roli niezupełnie wytłumaczonego okolicznościami pasożyta. Refleksje na temat totalnej katastrofy, która i jego wyrzuciła na piasek, oraz postrzeżenia dookolnej rzeczywistości układają się w stereotypy lekkie, przejrzyste. Z takiego wszakże oglądana jest owa katastrofa dystansu, jaki zaciera różnicę między przeżyciami tysięcy współbraci a cierpieniem zastygłym na płótnach Giotta. Jednakże niemal bagatelizowane są ówczesne lęki (łapanka, wyciąganie przez Niemców warszawiaków z kolejki EKD, w rzeczywistości kończące się niekiedy ich rozstrzelaniem) i fobie (nadejście bolszewików), na tym samym planie: uzasadnione i głupie. Wszystkie zabawne strony życia polskiego w sferze klas posiadających po upadku powstania i przed wyzwoleniem, marionetkowy prawie sposób bycia owej śmietanki towarzyskiej — zostały trafnie zaobserwowane i uwydatnione, ale z lęków i fobii czytelnik roku 1948, nie tylko przecie posiadacz i nosiciel jego światopoglądu, jeszcze się nie wyzwolił, nie otrząsnął z nich. Często wszystkie większe przesłanki, zgrupowane w pierwszej części powieści, na temat nieuchronnego i faktycznie już dokonanego upadku kapitalizmu i kapitalistów mało go obchodziły, czy dotyczyły. Do Francuzów czuł pogardę nie za kapitalizm, bo

innego ustroju nie znał i o wyższości socjalizmu miał się dopiero przekonać, ale za to, że zasobniejsi i silniejsi sojusznicy niezdolni byli do walki z Niemcami i hitleryzmem. Swego losu historycznego czy klasowego nie identyfikował z ich losem nawet w perspektywie dynamicznie zmieniającej się przyszłości. Zorganizowany gwałt i ludobójstwo hitlerowskie nauczyły go ceny życia, utrata elementarnego dorobku materialnego zbyt dokuczliwie dawała się jeszcze we znaki. Skłonni jesteśmy śmiać się z siebie samych w warunkach zupełnego bezpieczeństwa i niewątpliwie o to łatwiej pokoleniu dojrzałemu w Polsce Ludowej niż ówczesnemu czytelnikowi. Bagatelizujące natomiast potraktowanie owych żywych jeszcze lęków i fobii, elementarnych trosk, spychało je głębiej w sferę ciemnej podświadomości — uruchamiało system obronny, obronny system motywacyjny, w którym prywatne i osobiste zastępowane było przez publiczne, przyziemne i elementarne przez wzniosłe i sakralne. Wywrócone przez autora na nice stereotypy bohaterstwa na cudzy rachunek, na rachunek młodzieży i plebsu, były słusznie w tej klasie ośmieszone. Ale choć rzec można, że oszukani zostali ci, co przez owe stereotypy poruszeni ginęli w walce, trudno było pozostałym przy życiu przyznać się wtedy do tego. I ci zresztą, którzy natenczas (bo rozmaicie podczas powstania bywało) poczuli się z nimi do solidarności tylko przez ogrom wspólnie doznanego nieszczęścia, bliżsi byli zbiorowych nastrojów. Zresztą gra polityczna, której poczuli się niejasno ofiarami, nie tylko to jawne oszustwo obejmowała. Dlatego — być może — milczeniem pokryto pogardę dla Bora-Komorowskiego za jego kawaleryjskie poczynania w roli dowódcy powstania i heraldyczne pogwarki z katem Warszawy von dem Bach Żelewskim podczas kapitulacyjnego spotkania, jadowicie zrelacjonowanego przez gadzinowy „Nowy Kurier Warszawski”, oburzono się zaś na nieobyczajność Dygata.

Zabawnie obnażony egotyzm uratowanych z warszawskiego pogromu (ulewa cudownych ocalań, optymizm i chciejstwo pozbawione jakichkolwiek podstaw) były rysem mentalności powszechnej, nie tylko tej klasy, z którą narrator żegnał się, niczego już nie rozumiejącej, nie rozumiejącej i powstania. Totalna klęska i biologiczna zagłada zawsze — przynajmniej u nas — wyzwalają w masach skłonność do providencjonalizmu, śmieszącego szczególnie, gdy ograniczał się do jednostek nie reprezentujących żadnych szczególnych wartości. Tyle, że przecie taką miarę w obliczu zachodzących wydarzeń i uczestniczących w grze sił fizycznych stanowili w istocie wszyscy: i uratowani z opresji w powstańczej Warszawie, i ci w kraju, którzy uniknęli

hitlerowskiej kaźni, ponieważ oprawcom brakło czasu na ostateczne uregulowanie sprawy polskiej. Równanie ich w niewiedzy istoty wydarzeń, mocno zakarbowanych na własnej skórze, z garstką strupieszalej arystokracji, jej satelitów lub patologicznego drobnomieszczanstwa nie mogło się spotkać z poklaskiem, choć może ręce do niego składały się, gdy pisarz przedstawiał satyrycznie dobroczynność posiadających. Na obronę pisarza — jeżeli to za nią może być poczytane — trzeba by jednak wspomnieć o dosyć zagadkowym, nie korespondującym bezpośrednio z rzeczywistością przedstawioną i główną tezą powieści ustępie w refleksjach narratora na temat powstańczej katastrofy i zagłady. Jest to przeświadczenie, że znajduje się na jakimś pogrzebie, gdzie krewni rozpoczynają spory i intrygi o spadek po zmarłym, który był bankrutem. Uczestników owych sporów i intryg w powieści jeszcze nie widzimy. Można by też pomyśleć, że trupem bankruta naruszonym już przez robaki nie jest klasa posiadaczy, ale cały kraj.

Pożegnania mają kilka wariantów: narrator, Mirek, Maryna a nawet Lidka manifestują rozbrat z rozkładającą się, czy już rozłożoną klasą. Nie można się oprzeć przypuszczeniu, że idealny wzór rozstania z nią reprezentuje dla autora Lidka. Jest to u niej tak naturalne, jak wcześniejsze związanie się przez małżeństwo z Mirkiem. Wyposażył ją chyba autor w szczególny instykt, bo przecie tak niewiele brakowało, by obrała los męża uciekającego od swej klasy i swego narodu przy pomocy Niemców do Wiednia. Maryna — jak sugeruje narrator — najbardziej autentyczna arystokratka, świadoma sytuacji swej klasy i tylko szukająca najbardziej godnego sposobu zejścia jej ze sceny, mimo suwerennego stylu życia, jest również uwięziona w jej poglądach. Osobliwe jest pojęcie Maryny o ludzie i jego życiu, m. in. w owej projekcji arkadyjskiej przyszłości dla narratora i Lidki, jedynie w tym towarzystwie mających rzekomo szanse powrotu do natury. Spośród satelitów rozkładającej się w przyspieszonym tempie klasy, na śmiałą decyzję zerwania, popartą próbą przejścia przez front stać tylko profesorów, przedstawicieli twórczej inteligencji. Był to bardzo krzepiący przykład.

Gdy na całe to zbiorowisko przed jego ostatecznym rozpadem, patrzył narrator przy stole u hrabiny Róży dostrzegając tragikomiczne śmieszności tych byłych ludzi ze świecznika społecznego „pomyślało mu się nagle jakoś złośliwie i bez związku: A okręt sobie tonie...” Archetyp tonącego okrętu, wyzyskiwany ongiś w sytuacjach zagrożenia narodowego w celach solidarystycznych przez poetów i pisarzy zamknął wreszcie swą historię wraz z ostatnimi użytkownikami. W owych szczególnych oko-

licznościach nastąpiło coś w rodzaju zrównania z jego klasową w rzeczywistości funkcją. I to także mogło jątrzyć czytelników.

Odsłonięcie załosnej nicości ludzi dawnej elity znaczenia i władzy odbyło się przecie na benefis, ale trochę i na koszt tych, którzy — jak zwykle rządzeni — zaufali aranżowanym wielkościom w ciągu istnienia międzywojennej Polski. Degradacja ich pod kopniakami najeżdźcy przynosiła mizerną satysfakcję, bo — chociaż z winy tej elity — wszyscy na owe kopniaki byliśmy narażeni. Ostatecznie w zaściankowym życiu politycznym dwudziestolecia, nad którym nadmiernie długo ciążyło upojenie odzyskaną niepodległością, skłonność do charyzmatycznego pojmowania funkcji przywódców przy dość bezprzedmiotowych różnicach ich „programów”, ciągłym szantażu historią — znacznie mniej było takich, co oglądali kulisy władzy politycznej i mogli nabrać realnego poglądu na wartość sprawującej ją elity. Obedrzeć dawne idole z nimbu władzy i znaczenia w oczach takich czytelników znaczyło ich samych obedrzeć z resztek złudzeń, co do jakiegokolwiek sensu ich poprzednich — być może również celebrowanych — zachowań, a więc i skrytych przeświadczeń, że katastrofa była niezawinioną, jeszcze jedną krzywdą historyczną.

Jak wspomniałem, sąd o arystokratyczno-burżuazyjnym świecie został wzmocniony immanentną krytyką, wyrażoną przez nieposzlakowaną arystokratkę — Marynę. Jest to krytyka druzgocąca obyczajowo i historycznie, niezbyt chyba jednak wzruszała czytelnika, jak ostateczne losy samej Maryny, która wieszcząc nieuchronną zgbę arystokracji, demaskując osłaniające ją pozory, by zachowała choćby godność w takim położeniu, sama szczególnie budującego przykładu godnego zachowania nie dostarcza. Osobliwie pojmuje wolność od pozorów i osobliwe są jej pojęcia o ludzie. Demaskując Mirka dzieli chyba z narratorem jakieś naiwne arkadyjskie nadzieje na sprawę łączącą go z Lidką, jakby nowy ustrój od takich miał rozpocząć naprawę świata.

Śmieszniejsza atoli nad to wszystko razem jest — zawsze zresztą zabawna — emancypacja parazytów klasy panującej, przejmujących jej maniery i pretensje, umiejących tylko lepiej przystosować się do zmienionych okoliczności. Rzeczywistość powojenna, w której czytelnicy zaznajamiali się z książką Dygata, długo obfitowała w przykłady zasługujące na pióro satyryka. To późniejsza, zresztą różnych odmian, inicjatywa prywatna. Jej pierwsze kiełki wyrosły jeszcze w okresie okupacyjnym. Namnożyło się wtedy owych kelnerek z towarzystwa, kawiarnianych aranżerów ciemnych machinacji, którzy ocierając się o tych, co z konieczności, gdy — nie mieli już innych — profesjonalizo-

wali lub dyskutowali swe walory towarzyskie w lokalach i lokalikach okupacyjnej Warszawki — przejmowali od nich nobliwe maniery, półgębkiem przyznawali się do ziemiaństwa, bez skrupułów, ze znacznie większym zasobem energii i obrotności sposobili się do funkcji elity. Żerowali w mętnej wodzie tymczasowego układu stosunków i tylko on im sprzyjał. Gdyby zdawali sobie sprawę, że długo wypadnie im pełnić rolę korektora planowania i zaopatrzenia, byłoby zapewne śmieiej emancypowali się od pozornej zależności od dawnej klasy panującej i okazywali więcej sympatii dla nadciągających zmian, może nawet niebawem organizowali pielgrzymki dziękczynne do Częstochowy za uprzywilejowaną pozycję materialną i rzeczywisty awans społeczny, dziś pokątnie utwierdzany herbowymi sygnetami i herbami na nagrobkach. Na taką chyba drogę wkroczył z godnością arystokratycznego lokaja Feliks, zatrudniający w swym lokalu narratora i Mirkę.

Patologię posiadania prezentuje narrator na właścicielkach podmiejskich will, szczególnie zaś na oglupionej właścicielce „Quo vadis”, której wydaje się, że bolszewicy zniszczenie jej przede wszystkim będą mieli na oku.

Sam narrator gardzi upadłą klasą, z której się wywiódł, gardzi jej emancypującymi się pasożytami i oglupionymi satelitami, dolega mu stan zawieszenia, ale w istocie nie umie wyrwać się z zależności. Jest to więc bunt bezkierunkowy, sentymentalny, częścią pogardy i drwiny darzący siebie samego.

Rozchwianie wewnętrzne narratora, który przeżywa moment wyzwolenia najpierw na sposób widza kinowego i w kategoriach filmowego finału, nie trwa długo, ustępuje pod naciskiem wydarzeń. Widzem bohater-narrator pozostaje nadal, ale widzem, którego łączą lata okupacyjnych cierpień, nienawiść do okupanta zarówno z oczekującymi oswobodzenia jak i z rzeczywistymi aktorami wydarzeń, żołnierzami Wojska Polskiego i radzieckimi. Zejście zastraszonych arystokratów do piwnic lub ucieczka z Niemcami (Mirka i Tola) dopełniają pożegnań. Z sympatią i nadzieją narrator wraz z uwolnioną od rodzinnych więzów z arystokracją Lidką śledzą przebieg wydarzeń. Narrator do tych nadziei zyskuje nawet szczególne powody. Nie jest bezimienny, zna go oficer czy podchorąży oddziału wypierającego hitlerowców z Podkowie.

Zasadnicza opozycja wobec nawykowej tezy klasy panującej, że świata się nie zmieni, i rozstanie z własnym środowiskiem, dyspozycja osobowości naturalnej i krytycznej wobec przeszłości, poczucie więzi z ogółem cierpiących rodaków i wrogość wobec hitlerowców utwierdzone dwuletnim pobytem w Oświęcimiu — to właściwie całe wyposażenie narratora, decydujące o jego

otwartej postawie wobec nowego. Było to może sporo na moment wyzwolenia i prawdopodobnie oddawało stan świadomości znacznie większej liczby ludzi, ale w czasie trwającej wewnętrznej walki klasowej, kiedy ukazały się *Pożegnania*, oczekiwano więcej. W każdym razie jeden z symplicyzujących recenzentów podejrzliwie potraktował metrykę sojusznika i zasadę porozumienia.

Jest wszakże dosyć prawdopodobne, że to co dziś uważamy za raczej wąty politycznie składnik drugiej części powieści miało jakiś walor. Mogło zachęcać do ideowych konwersji i rozstań ze swoją klasą. Było celne w krytyce obyczajowej, którą utwierdził autor zastrzeżeniem: wszelkie postacie i zdarzenia w tej powieści są zmyślane. Domagało się jedynie rozleglejszego dopełnienia motywującego konieczność.

Wskutek tego — prawdopodobnie — rozpiętość czasu fabularnego wzrosła, objęła okres przedwojenny. Wbrew jednak muzycznej autosugestii (*Les Adieux* van Beethovena) o motywach rozstania, nieobecności i powrotu, autor zachował dwuczłonową kompozycję powieści. W narracji niemal ciąglej pominięty został czas dla zbiorowości czytelniczej najważniejszy, bo chyba najmocniej przeżyty. Narrator tylko mimochodem, ogólnikowo i prawie bezosobowo skwitował jego istnienie w retrospekcji oraz informacją o dwuletnim pobycie w Oświęcimiu. Być może wynikało to ze wstydlivosti uczuć, niechęci do ostentacji, ale mogło też być rozumiane jako unik przed daniem świadectwa prawdzie, jak tego jeszcze nawykowo oczekiwano od literatury.

Trzeba przyznać, że autor znacznie więcej — sądząc po efektach — starań włożył w gruntowne przygotowanie przesłanki większej, motywującej pożegnania ze swą klasą. Osadził przede wszystkim narratora precyzyjnie w odpowiednim środowisku z jego entourage'em. Umiejętnie ukazał więzi łączące ludzi jego sfery z aparatem władzy, nauką i sztuką, przedstawił salon i ekskluzywną restaurację oraz podmiejskie lotnisko. Jednocześnie zaś bunt wobec tego środowiska, bunt lepszego członka klasy, wyrabiający się w ustawiczny odruch korygowania na własną rękę wszystkiego, co wydawało się niesłuszne, fałszywe i niesprawiedliwe. Tak bowiem nazwali ówczesni doradcy Dygata postawę i zachowanie nonkonformistycznych inteligentów, szamoczących się ze swą klasą, ale pozbawionych busoli politycznej i oparcia o klasę wstępującą, skazanych więc na tkwienie w stanie infantylnego zawieszenia.

Wygląda to w powieści bardzo przekonywająco. Znajduje się na samym jej początku. Ma charakter osobistej refleksji bohatera-narratora, z tej bowiem pozycji odpowiada Dygatowi przedstawianie świata we wszystkich powieściach.

Nonkonformizm, co do którego nie było tylko zupełnej pewności, w jakiej mierze jest cechą osobistą narratora, w jakiej zaś pokoleniową lub może warstwową inteligenta — wydaje się sympatyczny w swych odruchach a nawet wybrykach. Nie dopytujemy się tedy zbyt — nie przychodziło to również do głowy ówczesnym mentorom politycznym Dygata, nawróconym inteligentom — czemu ustawiczny odruch korygowania wszystkiego, co wydawało się niesłuszne, fałszywe i niesprawiedliwe, nie został uzupełniony decyzją wzięcia swej egzystencji na własny rachunek. Tymczasem nawet tęsknota za prostotą i bezpośredniością przeżywania świata prowadzi bohatera do ekskluzywnej restauracji i ku fordanserce. Co za piękny, kliniczny socjologicznie okaz błędzącego inteligenta! Oczywiście, nie jest on zły. Jego impuls ku prostocie i naturze jest wysublimowany, nie toczy go po linii najmniejszego oporu. Czułość nie zmierza do zaspokojenia instynktu, o którego brutalności narrator jest przeświadczony. Tak oto zbuntowane dziecko kultury spotyka się z dzieckiem natury, fordanserką z ekskluzywnej restauracji w proteście przeciw unicestwiającemu ich osobowości działaniu stosunków międzyludzkich epoki. Skądinąd oboje są podatni na przeżywanie pozytywnych wartości, nawet konwencjonalnie uznanych. Obserwowany cudzy ślub porusza ich podobnie jak uczestników. Są wrażliwi, a więc i protest ich nie jest nieludzki. Bohater skłonny jest nawet do wzruszeń religijnych, choć zdaje się zdeterminowany znaleźć wreszcie „poza kręgiem świata, w którym się urodził i który odpłynął w anachroniczne mgły zatrzymanego czasu”.

Jest otwarty na świat i wszystko, co przyniesie błądzenie po peryferiach ustalonych przebiegów zdarzeń lub dokąd powiezie go pociąg, na który czekali inteligenci z *Jeziora Bodeńskiego*. Wyzwolony przez wybryk od zależności, odzyskuje powoli właściwe dziecku natury zdziwienie wobec świata i chce go na nowo doświadczać. Osiągnięty na chwilę stan swobody pozwala mu uprzytomnić sobie reifikację stosunków międzyludzkich w warunkach kapitalistycznej egzystencji. Temu zawdzięczamy karykaturalne rysy właścicielki willi „Quo vadis”, ale i refleksję o małżeństwie. Nie zdaje sobie natomiast narrator sprawy, że ta świadomość różni go od dziecka natury, jakim w jego mniemaniu jest Lidka, że mniej naiwny stosunek do produktów reifikacji pozwala mu w tym świecie swobodniej manewrować, dopuszcza większą niezależność zachowania. Z uzyskanych zresztą pozorów niezależności nie korzysta. Wybryk i przekorny gest grzeźnie w przekornej inscenizacji parodiującej sytuacji z *Damy Kameliowej*, w której — mimo przewrotnych intencji — bierze górę środowiskowy i rodzinny nawyk do teatralizowania, nawyk

do grania roli możliwie wzniosłej. W ten sposób protest buntującego się podlega autokompromitacji. Dopełnia jej późniejsza — już po zorganizowanym przez rodzinę wyjeździe na studia do Francji — reakcja na wiadomość o rezultatach zabiegów rzekomo wyprowadzających Lidkę na uczciwą drogę. Fiasko tych zabiegów i bezprzedmiotowość protestu buntującego się odsłaniają mechanizm uwarunkowań socjalnych, którym sam narrator jest podporządkowany. Cała problematyka stosunku do własnej rodziny, do własnej klasy, do wszystkich innych ludzi skurczyła się do owego: „ja i świat, który się we mnie odbija”.

Kompromitacji zachowań ludzi tej klasy — niezależnie od ich subiektywnie przeżywanych intencji — służy ich marionetkowa mechanizacja. Narrator, wiedziony odruchem buntu, u dziewczyny z ludu, Lidki szukał prostoty i naturalności. Tego samego pragną owi ze świecznika społecznego bywalcy „Café Clubu” zwierający się w momentach zmniejszonej samokontroli ze swych zahamowanych tęsknot arkadyjskich. Lubią te stany nawet bardziej niż działalność, której zawdzięczają pozycję, jakby świat tych ludzi kultury: generałów, redaktorów, poetów ogarnięty był znuzeniem, przestawszy cenić to, co tworzył i osiągnął. Zabawną odwróconą replikę tych zachowań i zwierzeń adresowanych do Lidki, w której narratorowi przypada rola erotyczno-arkadyjskiego obiektu jest stosunek z Dodo. Reprezentant świata kultury i klas panujących w Polsce, w Paryżu traktowany jest jako dziecko natury, chmurny słowiański prorok, wobec którego trzeba usprawiedliwiać swą nienaturalną egzystencję i w jego ramionach oczekiwać potwierdzenia lepszej części swej jaźni.

Sąsiadują te pragnienia z przeświadczeniem o schyłku i nieuniknionej zagładzie. Klasa panująca w centrum kapitalizmu kontynentalnego, jakim była Francja, i na jego peryferiach, do których należała Polska, waha się między tymi dwoma stanami. Zatraciła wiarę w swą przodowniczą rolę. Jej kultura sprowadza się do konsumpcji — jak sugeruje narrator — uczestnik pożegnalnej uczty. Nie rozumie już rzeczywistości społecznej lub, jeśli — jak Cachard — przenika jej procesy, przekonana jest, że wymknęła się jej z rąk i prze ku katastrofie: wojnie i rewolucji.

Te stany właściwe przedwojennej, burżuazyjnej Europie, prócz zgalwanizowanych i terroryzujących inne społeczeństwa Niemiec i Włoch, umożliwiły agresję totalitaryzmu i później — po wygranej dzięki koalicji wojnie i zwycięstwie nad faszyzmem — zwracały pełen zazdrości wzrok wielu ku narodom wschodnich połaci kontynentu, kulturalnie niezużytym, oferującym rozwijający narosłe w kapitalizmie sprzeczności społeczne socja-

lizm, gotowym dopomóc w nieco może burzliwej ceremonii pogrzebu anachronicznego ustroju.

Zbawiennej dla ludzkości perspektywy nie mieli i mieć nie mogli towarzysze paryskich epizodów życia narratora. Mało prawdopodobne, by wydała się ona ponętna nawet Cachardowi, człowiekowi dowcipnemu i inteligentnemu, rozumiejącemu ukryte sprężyny rzeczywistości, nie do tego jednak stopnia, żeby różnić wojnę i rewolucję w swych źródłach, obie bowiem napawają go taką samą obawą i skłaniają do zejścia ze sceny życia.

Dziś może wymodelowalibyśmy go nieco inaczej, nawet trochę przedłużając życie. Bardziej drapieżni i zatwardziali eksploatatorzy kapitalistyczni, pozbawieni sentymentów narodowych, wojnę raczej uważali za swój żywioł kolaborując z hitlerowskimi okupantami we Francji, następnie bronili za wszelką cenę swego łupu w Algierii. Strach przed rewolucją nie sparaliżował ich aktywności. Jak wietrznej ospy doznali nawet egzystencjalizmu — i prosperują nie najgorzej. To też mogłoby być tematem powieści politycznej, ale nie na ten moment, w którym ukazały się *Pożegnania*.

Wtedy wydawało się u nas niektórym, i mocno starali się to wpoić innym, że świat kapitalistyczny rzeczywiście wewnętrznie dojrzał do zrozumienia nieuchronności swej zagłady i wkroczył w stadium agonii. Oszczędzić mu należało ile sił starczy nadmiaru cierpień i być gotowym do oddania ostatniej posługi. Aczkolwiek byli i tacy, którzy nie podważając tego jedynie słusznego przekonania, umacniając również w nim innych, nie mogli sobie odmówić przyjemności — póki co — osobistego przyjrzenia się tej — jakże pięknej — śmierci.

Jak się już rzekło, dekadentyzm, przywilej duma i choroba artystów w burżuazyjnym świecie poraził w powieści Dygata drapieżców kapitalistycznych epoki imperializmu. Oddziałął zaś tak silnie, że pozostaje im w przededniu drugiej wojny światowej samobójstwo jako najgodniejszy sposób wycofania się z tego, co zgotowali światu. Cachard to taki właśnie rekin imperialistycznej Francji, eksploatujący Algierię, owładnięty nastrojem katastrofy nieodparcie wiszącej nad kapitalizmem, Francją i chrześcijaństwem aranżuje ucztę pożegnalną ze światem wciągając w nią narratora-bohatera, by zaspokoić kaprys Dodo, niezdrowego wykwit na burżuazyjnej kulturze, kobiety, której sposób bycia kompletnie nie kontaktuje się z normami etycznymi deklarowanego chrześcijaństwa.

W toku powieści narratora-bohatera luzuje w jego funkcji wobec Dodo nowy przystojny i wysportowany młodzieniec. Kończy się przygoda i do świadomości narratora-bohatera i Cachar-

da docierają sygnały wojny, kładąc kres „ostatniej wieczerzy” (chyba nie najfortunniej zresztą tak nazwanej, bo przecież po niej w pierwowzorze następowało zmartwychwstanie, nie zaś tylko ponowne spotkanie — na tamtym świecie?). Intensywne odczucie powszechnego cierpienia, w jakie spleta się egzystencja ludzi uwikłanych w sprzeczności istniejącego świata, i świadomość, że inni nie są w stanie zrozumieć sytuacji — jest zyskiem młodego człowieka wracającego do kraju w dzień poprzedzający wybuch wojny.

Oto przesłanka większa we wnioskowaniu o ostatecznym upadku i degrengoladzie kapitalizmu i burżuazji światowej. Na peryferiach jej władztwa żerowała rodzima klasa panująca: resztki arystokracji, zamożne mieszczaństwo, elita władzy, nauki i sztuki ze swymi pasożytami. Co w centrum kapitalizmu było tylko wygodną postawą, dla najinteligentniejszych i wrażliwych — relatywną, a więc przekonanie o niezmienności kapitalistycznych stosunków, niemożliwości zmiany ich, postępu, negacją komunizmu — tu jest zabsolutyzowanym dogmatem, o który rozbija się infantyliczując swych męczenników każdy bunt, myśl czy nawet sposób bycia odbiegający od zakorzenionych zwyczajów.

Świadomość tego wszystkiego to może i sporo na powieść polityczną. Ale w tym miejscu dopiero zaczynała się aktualna polityka i jej problemy. Powieść tę strefę omijała, zawadzając jedynie o strupieszalnych głosicieli zachowania status quo ante, dogmatyzujących opór przeciw jakimkolwiek zmianom.

Autor miał po temu dobre prawo, ale rezygnacja z poruszenia spraw rzeczywiście jątrzących społeczność odebrała jego powieści istotną jej cechę jako powieści politycznej: pełne, niemal interwencyjne zaangażowanie w sprawy agitujące zbiorowość i sugestie rozwiązań. Została celna i zabawna satyra na pewne kręgi społeczne, na ślepy i egoistyczny konserwatyzm, na podścielisko, z którego wyłaniała się elita przedwojennej Polski, jednak nie na nią samą, czynnie odpowiedzialną za katastrofę i cierpienia narodu.

Rachunek jej win i spowodowanych przez nią cierpień — mimo starań autora, któremu wyraźnie w tym pióro nie służy — wydaje się ogólnikowy i chłodny. Z punktu widzenia sił przeciwstawnych, biorących wtedy na swe barki odpowiedzialność za losy narodu również brakowało tych win przedstawienia.

Narrator sugeruje, że totalna i nie dająca się ogarnąć klęska kraju i społeczeństwa uczyniła bezprzedmiotowym inteligencki bunt i jednostkowy odruch korygowania prawideł świata, obnażyła ich błahość. Rozprężyły się więzi łączące go ze środowiskiem, jakie go wydało, nim nastąpiło formalne rozstanie. Sam

godzi się fatalistycznie, żeby bezimiennego unosił go pociąg nieznannej historii. Dziewiętnastowieczna metafora pociągu dziejów, postępu, rewolucji wystarczy mu najzupełniej i nie ma ci zgody na nią myśl, że z takich pociągów wysiadano.

Nie ma potrzeby przedzierania się — jak obaj profesorowie — przez linię frontu. Wystarczy poddać się biegowi wydarzeń i być życzliwie na nie otwartym, może zwróci nań uwagę kolega, któremu wcześniej wypadło zdecydować się, oficer czy podchorąży wołający nań po imieniu i nazwisku. Można mieć nadzieję, że prostocie i prawdziwej, nacechowanej ludzkością miłości, humanitaryzmowi stosunków międzyludzkich zostanie przywrócony ich pierwotny walor. Świat przestanie straszyć relikami przeszłości i zmuszać do błazeńskiego protestu czy grymasu. Stanie się — jak dziś się powiada — jednoznaczny i autentyczny.

Pod powierzchnią przemian dokonujących się w świadomości bohatera zostają jakieś sprawy niedopowiedziane, ale o ich charakterze możemy wnioskować tylko pośrednio.

Zwraca uwagę lekkość przedstawień świata, poruszeń postaci i reakcji na nie, w czym pisarz posługuje się chętnie stereotypami, swego rodzaju prefabrykatami, występującymi zresztą i w pozostałych jego dziełach. Uderza nonszalancja, marionetkowa mechanizacja zachowań postaci, zwłaszcza epizodycznych. Nie przydaje ona wagi zachowaniu samego bohatera, bo i w nich się owa mechaniczność ujawnia. Owszem, czyni z jego perypetii coś w rodzaju romansu gościńca i oberży.

Kult, jaki narrator żywi dla „rasy”, manifestującej się w sposobie bycia roztaczanym w przeróżnych urokach i wariantach przez postaci arystokratycznego milieu: hrabinę Różę, Mirka, Marychnę, Lidkę i lokaja Feliksa, równa go potrosze z tym lokajem i jest raczej dziwną koncesją na rzecz czytelników powieści o romansowych przyzwycajeniach patrzenia na „wyższą sferę”.

Zupełnie już na marginesie można odnotować osobliwy stosunek narratora do Lidki jako kobiety. Zdaje się, że narrator-bohater nie darzy naturalnym zaufaniem samego aktu płciowego. Czymś zwykłym wydaje mu się tylko w przypadku prostytutce, szeroko zresztą pojętej. Prawdziwa miłość powinna raczej zostać niespełniona. Inaczej dochodzi jedynie do sponiewierania człowieczeństwa obojga partnerów, zbrukania i zaprzepaszczenia czegoś idealnego. I to wydaje się romansowym gestem pisarza pod adresem czytelników.

Bądź jak bądź, wspomniane skazy bohatera, jak i przedziwne jego pojęcie o tym, czym jest lud, nie były groźne dla nowej rzeczywistości i można było ich usunięcie pozostawić czasowi oraz dobroczynnemu wpływowi uzdrowionych przez ustrój stosunków.

Zostawały natomiast istotniejsze pozycje „inteligenckiego rozrachunku”.

W momencie ukazania się powieści Dygata takich rozrachunków kających się inteligentów było więcej. Wolno im było się kajać za pochodzeniową głównie przynależność do warstwy uzależnionej od klasy panującej, skompromitowanej przez historię, którą uczyniła jedyną instancją powołaną do sądzenia jej czynów i efektów sprawowania władzy w państwie. Niepodobna było wtedy dopytywać, w jakiej mierze pisarze właśnie powinni dokonać aktu samokrytyki za ową przynależność, ale nie na tym się kończyło. Chodziło raczej o rezygnację z nawyku indywidualnego sądzenia i korygowania prawideł świata, o przyznanie się do słabości swych postaw, o akt abdykacji z prawa do samodzielnego mierzenia się intelektualnego z rzeczywistością. Po kilku latach rewanz za to brali studenci, głosząc wtedy, że tym razem „ryby się ukajali”.